

# Kobieta z plemienia Siwasz

Jack London



calibre 0.9.27

# KOBIETA Z PLEMENIA SIWASZ

Jack London

Gdybym ja była mężczyzną... — Nie wiadomo, co właściwie chciała przez to powiedzieć, ale mężczyźni w namiocie dostrzegli druzgocącą pogardę w jej czarnych oczach.

Tommy, angielski marynarz, zwinął się pod tym spojrzeniem, ale rycerski stary Dick Humphries, rybak z Kornwalii — ongiś bogaty amerykański łowca łososi, spojrzał na nią życzliwie jak zawsze. W swym prostackim sercu zbyt wiele miejsca oddawał kobietom, by brać im za złe, jak mawiał, napady kaprysów lub to, że swym ciasnym umysłem nie mogą objąć całokształtu zagadnienia. Milczeli więc — ci dwaj mężczyźni, którzy trzy dni temu przyjęli do swego namiotu na pół zamarzną kobietę, ogrzali ją, nakarmili i uratowali jej dobytek przed indiańskimi tragarzami. To ostatnie kosztowało sporo dolarów, nie mówiąc już o tym, że musieli uciec się do zbrojnej demonstracji: Dick Humphries zmrużywszy oko celował z winchestera, gdy Tommy według własnej oceny dzielił zapłatę między tragarzy. Nie było to nic wielkiego samo przez się, ale wiele znaczyło dla kobiety, która samotnie na własną rękę podjęła desperacką wyprawę podczas równie desperackiej gorączki złota w Klondike roku 1897. Mężczyźni mieli po uszy własnych kłopotów, patrzyli więc krzywym okiem na samotną kobietę porywającą się do walki z trudami arktycznej zimy.

— Gdybym ja była mężczyzną, wiedziałabym, co zrobić — powtórzyła Molly ciskając gromy oczami, a w tych słowach wyraził się cały hart ducha pięciu pokoleń rodowitych Amerykanów.

W ciszy, która potem zapadła, Tommy wepchnął blachę z grzankami do yukońskiego piecyka i dorzucił świeżego drzewa na ogień. Ciemny rumieniec wystąpił mu na twarz pod ogorzałą cerą, a gdy się pochylił, widać było, że nawet kark mu spąsowiał. Dick przepychał trójkątną marynarską igłę przez rozdarte rzemienie, jak zawsze dobroduszny i ani trochę nie poruszony wybuchem kobiecości, która lada chwila miała się rozszać w targanym przez burzę namiocie.

— No i gdyby pani była mężczyzną, to co? — zapytał głosem pełnym dobroci. Przestał szyc na chwilę, bo trójkątna igła ugrzęzła w mokrej skórze.

— Byłabym mężczyzną. Założyłabym plecak i ruszyła w drogę. Nie siedziałabym w obozie, gdy Yukon lada dzień zamarźnie, a bagaże są zaledwie wpół drogi. A wy... wy jesteście mężczyznami i siedzicie tutaj założywszy ręce, boicie się odrobiny wiatru i wilgoci. Powiem wam w oczy: amerykańscy mężczyźni są z innej gliny. Oni poszliby do Dawson, nawet gdyby musieli przejść przez piekło. A wy... wy... chciałabym być mężczyzną.

— Bardzo się cieszę, droga pani, że pani nim nie jest. — Dick Humphries zaciągnął supeł żaglowego szpagatu wokół ostrza igły i przepchnął je paroma zręcznymi obrotami i jednym szarpnięciem,

Nagły poryw wichury z groźnym warknięciem uderzył w przelocie o namiot, a śnieżna, mokra krupa gniewnie i ostro zabębniła po cienkim płótnie. Zdławiony u wylotu dym buchnął przez drzwi pieca niosąc ze sobą gryzący zapach palonej jedliny.

— Mój Boże! Czemu kobieta nie potrafi być rozsądna? wson Tommy uniósł głowę znad gęstych kłębow dymu i spojrzał na Molly załzawionymi oczami.

— A czemu mężczyzna nie potrafi być męski?

Tommy zerwał się z przekleństwem, które na pewno przeraziłoby kobietę słabszego serca, szarpnął twardy węzeł i odrzucił na bok wejściowe płachty namiotu.

Cała trójka wyrzała na zewnątrz. Widok nie był krzepiący. Kilka przemoczonych na wskroś namiotów tworzyło żalostny pierwszy plan, nieco dalej zalany wodą teren opadał w dół i przechodził w wąską gardziel, w której pienił się górski potok. Tu i tam karłowate jodełki, lekliwie czepiające się korzeniami wątlej warstwy aluwialnego pokładu, świadczyły o bliskości granicy lasów. Dalej, na przeciwległym stoku, za nieprzerwaną zasłoną deszczu, martwą bielą majaczyły kontury lodowca. Na oczach tych trojga — jego potężne czoło spełzło teraz poruszone jakimś wewnętrznym wstrząsem, a towarzyszące temu ochryple grzmoty i huk zagłuszały złowieszczy głos burzy. Molly mimo woli cofnęła się przerażona.

— Patrz, kobieto! Patrz uważnie. Trzy mile przez samą paszczę burzy do Jeziora Krater, poprzez dwa lodowce, po oślizłych skałach i po kolana w huczącej rzece! Patrz, ty Amerykanko! Tam masz swoich Amerykanów! — Tommy gniewnym ruchem ręki wskazał na walczące z burzą namioty. — Amerykanie, najrodowitsi z rodowitych. Czy są na szlaku? Czy choć jeden z nich zarzucił plecak na ramiona? A ty chcesz uczyć nas, mężczyzn, co mamy robić! Patrz, mówię!

Nowy olbrzymi zwał lodowca runął w dół. Wiatr wpadł przez uchyloną płachtę i wydał ściany namiotu, który zakołysał się jak wielki balon targany na uwięzi. Dym zawirował wokół ludzi, a śnieżne krupy zacięły ich mocno. Tommy szybko związał skrzydła płachty i wrócił do swej łzawiącej oczy roboty przy piecu. Dick Humphries rzucił w kąt wiązkę naprawionych rzemieni i zapalił fajkę. Nawet Molly, na razie, została przekonana.

— Ale tam są moje sukienki — niemal zaszlochała, bo nagle kobiecość wzięła w niej górę. — Leżą na samym wierzchu skrytki z zapasami i zniszczą się. Mówię wam, że się zniszczą!

— No, no — rzekł Dick, gdy zamarła ostatnia drżąca sylaba tego lamentu. — Nie przejmuj się tym, mała kobietko. Mógłbym być twoim stryjem, a poza tym mam córkę starszą od ciebie. Zobaczysz, wystroję cię w piękne fatałaszkę, gdy dojdziemy do Dawson, nawet gdyby mnie to miało kosztować ostatniego dolara.

— Gdy dojdziemy do Dawson! — rzekła z nagłym nawrotem pogardy w głosie. — Przedtem zgnijecie po drodze. Utoniecie w kałuży.

Wy... wy... Anglicy — cisnęła im w twarz.

Ostatnie słowo, dynamiczne, mocne, wyczerpało do cna zapas jej obelg. Jeśli to nie poruszy tych ludzi, cóż ich poruszy? Tommy zaciął zęby, lecz kark znów mu spąsowiał. Dickowi spojrzenie zupełnie zmiękło. Miał przewagę nad Tommym, bo kiedyś już był żonaty z białą kobietą,

W pewnych warunkach krew pięciu czysto amerykańskich pokoleń nie jest wygodnym dziedzictwem. A pośród tych warunków można wymienić pobyt pod jednym dachem z najbliższymi krewnymi. Ci mężczyźni byli Brytyjczykami: ich przodkowie i jej przodkowie walczyli ze sobą na morzu i na lądzie. I nieraz jeszcze będzie walczyć ze sobą ich potomstwo. W Molly odezwał się głos przodków, bo mimo że była tylko nowoczesną kobietą, cała wspaniała przeszłość tętniła w jej żyłach. To nie sama Molly Travis naciągnęła gumowe buty, włożyła płaszcz i plecak, to widmowe ręce dziesięciu tysięcy jej przodków mocno zacisnęły sprzączki. Przodków, którym zawdzięczała kwadratową szczękę i stanowczy wyraz oczu. Ona, Molly Travis, chciała zawstydzić tych Anglików; a tamte niezliczone cienie gwarantowały zwycięstwo plebejskiej rasie.

Mężczyźni nie oponowali, tylko Dick doradził Molly, aby włożyła jego marynarską kurtkę, bo jej płaszcz przy takiej pogodzie niewiele więcej był wart od zwykłego papieru. Ale tak pogardliwie parsknęła na znak swojej niezależności, że całą uwagę poświęcił fajeczce. Palił gorliwie, póki Molly nie umocowała z zewnątrz wejściowych płacht namiotu i nie pobrnęła przez błoto i wodę.

— Myślisz, że jej się uda? — zapytał Dick i choć twarz miał obojętną, z głosu przebijało wzruszenie.

— Czy jej się uda? Jeżeli nawet wytrzyma nacisk wichury, zanim dotrze do skrytki, to — nie mówiąc już o innych trudnościach — przemarznie na kość i zwariuje. Wytrzymać? Postrada zmysły. Znasz to dobrze z własnego doświadczenia. Żeglowałeś przecież wokół Hornu. Wiesz, co znaczy stać na marsa rei w samym sercu burzy, gdy lodowaty śnieg i obmarznięte płótno biją cię w twarz, aż wreszcie gotów jesteś wszystko rzucić i rozplakać się jak dziecko. Suknie? Nie zdoła nawet odróżnić wiązki spódnic od patelni do przemywania złota lub od imbryka.

— No to chyba źle się stało, żeśmy ją puścili?

— Przeciwnie. Jak Boga kocham, Dick, gdybyśmy jej nie puścili, zamieniłaby ten namiot w piekło aż do końca podróży. Nieszczęście w tym, że ma cholerny temperament. Ale to ją trochę ostudzi.

— Tak — zgodził się Dick. — Jest za ambitna. Ale poza tym nie można jej nic zarzucić. Cholerna wariatka, że się wypuściła w taką podróż, lecz o całe niebo lepsza od tych rozpieszczonych szczebiotek. Jest tym pniem, z którego myśmy wyrosli, Tommy. Musisz więc jej wybaczyć temperament. Mężczyznę wychowuje kobieta. Nie wyssiesz męskości z piersi niewiasty, której tylko spódnice dają prawo do tego miana. Kotka nie krowa wykarmi tygrysa.

— Ale czy musimy przyznawać im rację, gdy robią głupstwa?

— To pytanie. Ostry, hartowny nóż głębiej zacina szczapę od tępego, ale to jeszcze nie powód, by tępić ostrze o belkę kabestanu.

— Racja, jednak gdy idzie o kobietę, wybiorę sobie chyba nie taką ostrą.

— Cóż ty możesz o tym wiedzieć? — zapytał Dick.

— Coś tam wiem. — Tommy sięgnął po mokre pończochy Molly i rozpostarł je sobie na kolanach, by wyschły.

Dick, przyglądając mu się ciekawie, grzebał w torbie Molly, a potem przykuśtykał przed drzwiczki pieca z różnymi częściami wilgotnej damskiej garderoby, które również rozłożył przed ogniem.

— Mówiłeś, że nigdy nie byłeś żonaty — powiedział.

— Mówiłem? A jednak byłem... to znaczy... tak, byłem, u licha!

I to z taką kobietą, że lepsza nigdy nie gotowała stawy mężczyźnie.

— Przeniosła się do wieczności? — Dick ruchem ręki wyraził nieskończoność.

— Tak — rzekł Tommy. — Przy porodzie — dorzucił po chwili milczenia.

Fasola bulgocząc zagotowała się na frontowej fajerce, przesunął więc garnek na zimniejszą część płyty. Potem przyjrzał się grzankom, ostrym patykiem spróbował, czy są dość pulchne, i nakrył je wilgotną szmatą. Dick, swoim zwyczajem, pohamował ciekawość i czekał cierpliwie.

— To była całkiem inna kobieta niż Molly. Siwaszka. Dick kiwnął głową na znak, że rozumie, o co chodzi.

— Nie tak dumna i uparta, ale zawsze wierna mężczyźnie w dobrym i złym. Dzielnie z nim pracowała wiosłem i bez słowa głodowała jak Hiob. Szła naprzód, gdy dziób łodzi częściej bywał pod wodą niż nad wodą, a żagle refowała jak mężczyzna. Szliśmy raz, szukając złota, w górę szlakiem rzeki Teslin, za jeziora Niespodzianka i Mała Żółta Głowa. Żywność się skończyła, więc jedliśmy psy. Psy się skończyły, więc jedliśmy uprząż, mokasy i futra. Nigdy żadnych łez, kaprysów, narzekań. Przed wyruszeniem ostrzegała mnie: „pamiętaj o żywności”, ale kiedy skończyły się zapasy, ani razu nie powiedziała: „a nie mówiłam!”

„Głupstwo, Tommy” — powtarzała dzień po dniu, już tak słaba, że ledwie unosiła narty; nogi miała otarte do krwi. „Głupstwo, Tommy, niech mi nawet brzuch przyrośnie z głodu do krzyża, wolę być twoją żoną, niż codziennie mieć *potlatch* i być *klootch* wodza George'a”. Wiesz, George był



wodzem Chilcootów i miał na nią wielką chrapkę.

To były czasy! Byłem jeszcze młodym chłopcem, gdy się dostałem w tamte strony. Zwiąłem ze statku wielorybniczego „Gwiazda Północy” na Unalascie i dotarłem do Sitki na stateczku polującym na wydry. Tam się zetknąłem ze Szczęśliwym Jackiem — znałeś go?

— Opiekował się moimi sidłami — odparł Dick — tam w Kolumbii. Straszny wariat, ale rozmiłowany w kobietach i whisky, prawda?

— Tak, ten. Parę sezonów handlowaliśmy razem, sprzedawaliśmy hooch, koce i podobne różności. Potem zdobyłem sobie własny szlup i żeby mu nie psuć interesu, popłynąłem do Juneau. I tam spotkałem Killisnoo. Mówiłem jej po prostu Tilly. Zobaczyłem ją na wybrzeżu, w czasie tańca kobiet. George właśnie ukończył doroczny targ z plemieniem Sticków za cieśninami i przyjechał z Dyea z połową plemienia. Na tych tańcach było zatrzęsienie Siwaszów, a tylko ja jeden biały. Nikt mnie tu nie znał prócz paru Indian, których spotkałem na szlaku Sitki, ja natomiast wiele nasłuchiwałem się o Siwaszach z ust Szczęśliwego Jacka.

Wszyscy gadali w narzeczu Chinook i nawet nie wyobrażali sobie, że lepiej paplę tym narzeczem niż większość z nich. Rej wodziły dwie dziewczyny, które uciekły z misji w Haines leżącym w górze kanału Lynn. Były to zgrabne stworzenia, miłe dla oka, i chciałem pożeglować ku nim, ale wymykały się jak świeżo złowiony sztokfisz: za kolczaste — rozumiesz? Byłem obcy w tym gronie, więc mnie wzięły na języki, nie wiedząc, że rozumiem każde słówko w narzeczu Chinook.

Udawałem, że niczego się nie domyślam i tańczyłem z Tilly, a im więcej tańczyliśmy, tym więcej nasze serca się rwały ku sobie. „Szuka sobie kobiety” powiedziała jedna z dziewczyn, a druga potrząsnęła głową i rzekła: „Niewielkie ma szansę, gdy kobiety będą szukać mężczyzn”. Indianie wkoło zaczęli się uśmiechać, chichotać i powtarzać jej słowa. „Wcale ładny chłopaczek” powiedziała pierwsza. Nie przeczę, że wyglądałem młodzieńczo i twarz miałem gładziutką, ale już od dawna byłem prawdziwym mężczyzną, toteż ubodły mnie te słowa... „Tańczy z dziewczyną wodza” — pisnęła druga — „George zaraz przyłoży mu wiosłem i każe pilnować własnego nosa”. George, który dotąd był bardzo ponury, roześmiał się na te słowa i trzepnął się po kolanach. Łobuz był silny i mógł użyć wiosła.

— Co to za dziewczyny? — zapytałem Tilly, gdy wirując wyrwaliśmy się z koła. Ledwie mi je nazwała, przypomniałem sobie, co mi o nich mówił Szczęśliwy Jack. Świetnie znałem całą historię tych dziewcząt... Jack opowiedział mi wiele rzeczy, których nawet ich własne plemię nie wiedziało. Ale trzymałem język za zębami i dalej nadskakiwałem Tilly. One zaś nie szczędziły docinków pod moim adresem, wywołując dokoła wybuchy śmiechu. „Tylko spokojnie, Tommy” mówiłem sobie w duchu. „Tylko spokojnie”.

Czekałem więc, aż tańce dobiegły końca, a wódz przygotował na mnie wiosło. Kiedy stanęliśmy, wszyscy czekali na awanturę, a ja wszedłem, jak gdyby nigdy nic, w sam środek tłumu. Dziewczęta z misji rzuciły jakąś ciętą uwagę pod moim adresem i mimo całej złości musiałem zagryźć wargi, by się nie roześmiać. Nagle zwróciłem się do nich.

— No co, skończyłyście?

Trzeba było je widzieć, gdy usłyszały, jak biegle paplę narzeczem Chinook. A potem już się nie krępowałem. Powiedziałem im wszystko o nich, o ich przodkach: o ojcach, matkach, siostrach, braciach — o każdym i o wszystkim. O najdrobniejszej podłostce, o każdej awanturze, o najmniejszej hańbie, jaka spadła na rodzinę. Piętnowałem je bez litości i lęku. Wszyscy zebrali się koło nas. Nigdy jeszcze nie słyszeli białego, który by tak gładko gadał w ich języku. I wszyscy się śmieli, prócz tych dziewcząt z misji. Nawet wódz George zapomniał o wiosle albo nabrał dla mnie takiego szacunku, że bał się je puścić w ruch.

„Och, Tommy, przestań! — krzyczały dziewczyny; łzy im płynęły po policzkach. — Skończ już. Poprawimy się. Tommy, na pewno, na pewno”. Znałem je jednak dobrze i uderzyłem we wszystkie czułe miejsca. Nie zamilkłem, póki nie padły na kolana, błagając mnie, bym już nareszcie dał spokój. Spojrzałem wtedy spod oka na wodza: nie wiedział, czy mnie zaatakować, czy nie, i w końcu poprzestał na nieszczerym uśmiechu.

Kiedy wieczorem żegnałem się z Tilly, powiedziałem jej, że wrócę za jakiś tydzień, i że chcę się z nią widywać. Nie była gruboskórna i szczerze okazywała, czy kogoś lubi, czy nie: była uczciwa dziewczyną. Cudowna kobieta, nic dziwnego, że George się w niej zakochał.

Szczęście mi dopisało. Z miejsca zabrałem rywalowi wiatr z żagli. Chciałem wziąć Tilly do łodzi, popłynąć ku Wyspie Wrangla, poczekać aż burza się przewali i w ten sposób go wykiwać. Ale nie mogłem jej tak łatwo namówić. Mieszkała z jakimś wujem — opiekunem, a ten wuj lada chwila miał wyciągnąć kopyta na gruźlicę czy jakąś inną chorobę płuc. Było mu raz lepiej, raz gorzej, a ona nie chciała go opuścić, póki nie zemrze. Tuż przed odjazdem zajrzałem do ich wigwamu, by się zorientować, jak długo jeszcze stary pociągnie. Nicpoń obiecał ją wodzowi i ledwie na mnie spojrział, dostał krwotoku ze złości.

„Wróć, Tommy, i zabierz mnie” — mówiła Tilly, kiedy żegnaliśmy się na brzegu. „Dobrze — powiedziałem. — Wróć na twój pierwszy znak”. I całowałem ją jak biały człowiek i kochanek, aż zaczęła cała drżeć niby rozdygotany liść osiny. A ja tak straciłem głowę, że o mały włos nie poszedłem wyprawić starego na tamten świat.

Popłynąłem więc ku Wyspie Wrangla, minąłem St. Mary i dotarłem aż do Wysp Królowej Charlotty, handlując, rozwożąc whisky i zawijając do każdej dziury. Zima już nastąpiła mroźna i ostra. Właśnie wróciłem do Juneau, kiedy Tilly dała mi znak. „Przyjeżdżaj” po wiedział chłop, który przyniósł wiadomość. „Killisnoo mówi: przyjeżdżaj zaraz”. „Co się stało?” zapytałem. „Wódz George” powiedział. „Potlatch. Killisnoo klootch”.

Droga była ciężka... Toku z wyciem dał z północy, słońce bryzgi zamarzały, ledwie dotknęły pokładu, a stary szlup i ja pchaliśmy się przez najgorsze piekło, by przebyć sto mil do Dyea. Gdy wyruszałem, moja załoga składała się z jednego krajowca-wyspiarza, zmyło go jednak z dziobu w połowie drogi. Zawróciłem i trzy razy przeciąłem kurs, ale nie było po nim ani śladu.

— Pewnie kurcz go złapał z zimna — podsunął Dick, przerywając na chwilę opowiadanie Tommy'ego i rozwieszając jedną ze spódnic Molly dla przesuszenia — i poszedł na dno jak kawał ołowiu.

— Też tak myślę. Dojechałem więc sam i gdy wieczorem po ciemku znalazłem się w Dyea, byłem na pół żywy. Przytył mi sprzyjał, toteż przybiłem wprost do brzegu w bezpieczne ukrycie. Nie przedostałbym się nawet o cal dalej, bo słodka woda zupełnie zamarzała. Fały i bloki tak obrosły lodem, że nawet nie usiłowałem opuścić grotu lub kliwra. Przede wszystkim napocząłem część ładunku łyknąwszy porządnie czystego spirytusu, a potem, zostawiając wszystko gotowe do drogi, okryłem się kocem i popędziłem przez równinę ku obozowisku Siwaszów. Nie było wątpliwości — szykował się wielki festyn. Indianie z plemienia Chilcat stawili się jak jeden — psy, dzieci i kanoe — nie mówiąc o „Psich Uszach”, „Małych Łososiach” i członkach misji. Zebrało się ich wszystkich co najmniej pięciuset, by uczcić ślub Tilly, i żadnego białego człowieka w promieniu dwudziestu mil.

Nikt na mnie na zwrócił uwagi, bo koc zarzucony na głowę zakrywał mi twarz, toteż brnąc po kolana wśród dzieci i psów, przepchnąłem się do pierwszego szeregu widzów. Ceremonia miała się odbyć na wielkiej polanie pośród drzew, w jasnym blasku wielkich ognisk, na śniegu ubitym mokasynami w masę tak twardą, jak portlandzki cement. Stałem obok Tilly obwieszanej

paciorkami i ubranej w jakieś pąsowe wspaniałości, akurat naprzeciw wodza George'a i całej starszyny. Szamanowi pomagali w ceremonii wielcy szamani innych plemion i dreszcz mną wstrząsnął na widok ich diabelskich sztuczek. Złapałem się na myśli, co by też powiedzieli ludzie z Liverpoolu, gdyby mnie teraz zobaczyli. Pomyślałem też o blondynce Gussie, której brata po mym pierwszym rejsie sprąłem na kwaśne jabłko za to, że nie chciał, by jego siostra chodziła z marynarzem. I z Gussie przed oczami patrzyłem na Tilly. Dziwny jest ten świat — dumalem — człowiek wstępuje na drogi, o których się jego matce nie śniło, gdy go trzymała przy piersi.

Ale do rzeczy... W największym rozgwarze, kiedy huczały bębny ze skór morsów i śpiewali szamani, szepnąłem Tilly: „Czy jesteś gotowa?” Wielki Boże! Nawet nie drgnęła, kątem oka na mnie nie spojrzała. Twarz miała zupełnie nieruchomą. „Wiedziałam” odparła głosem równym i spokojnym jak cichy przybój w pełni księżyca. „Gdzie?” „Wysoki brzeg na skraju lodu” odszepnąłem. „Biegnij na pierwszy mój znak”.

Czy już mówiłem, że psów było tam co niemiara? Mówię ci — co niemiara. Tu, tam, wszędzie było ich pełno. Ledwie oswojone wilczyska, nic innego, bo kiedy rasa się degeneruje, Indianie pozwalają sukcom parzyć się w lesie z wilkami. Te psy są strasznie złe. Tuż przed czubkiem mego mokasy na leżało takie potężne zwierzę, a przy piętach — drugie. Szybkim ruchem zgąłem ogon pierwszego, aż coś chrupnęło. Gdy miał już kłapać zębami, tam gdzie przed chwilą była moja ręka, chwyciłem za kark drugiego psa i wsunąłem mu go w paszczę. „Uciekaj!” krzyknąłem do Tilly.

Wiesz, jak te psy się gryzą. W jednej chwili szalała ich cała setka. Kotłowały się, szarpały i rozdzierały na sztuki. Dzieci i kobiety przyskały na wszystkie strony, wszyscy potracili głowy. Tilly wysliznęła się z tłumu, ja pobiegłem za nią. Ale kiedy obejrzałem się za siebie na skraju cizby, diabeł we mnie wstąpił. Odrzuciłem koc i wróciłem.

Tymczasem rozdzielono zwierzęta i zapanował jaki taki porządek. Nikt jednak nie stał na swoim miejscu, nie połapano się więc, że Tilly uciekła. „Witaj!” zawołałem chwytając George'a za rękę. „Niech dym waszych uczt wznosi się często, a Stickowie na wiosnę przywiozą wam wiele skór”.

Jak Boga kocham, czy uwierzysz, Dick? — on się ucieszył na mój widok! był górą, żenił się z Tilly. Okazja do nadymania się i wywyższania nade mną. Wiadomość, że szaleję za dziewczyną, rozeszła się po obozowiskach, toteż moja obecność na ślubie łechtala jego ambicję. Teraz, gdy już odrzuciłem koc, wszyscy mnie poznali, zaczęli się więc śmiać i chichotać. Było z czego, a ja jeszcze dolałem oliwy do ognia udaną naiwnością.

— Co się tu dzieje? — zapytałem. — Kto się żeni?

— Wódz George — odrzekł szaman, z szacunkiem schylając się w ukłonie przed wodzem.

— Słyszałem, że ma już dwie żony.

— Bierze... trzecią — i znów się skłonił.

— Och! — rzekłem i odwróciłem się, jakby mnie to nic nie obchodziło.

Ale na tym nie koniec, bo wszyscy zaczęli wyśpiewywać: „Killisnoo! Killisnoo!”

— Co Killisnoo? — zapytałem.

— Killisnoo, *klootch* wodza George'a — pletli. — Killisnoo *klootch*. Odwróciłem się gwałtownie i spojrzałem na niego. Skinął głową i wypiął dumnie pierś.

— Killisnoo nie będzie twoją żoną — powiedziałem uroczyście. — Nie będzie twoją żoną — powtórzyłem. Ciemna krew uderzyła mu do twarzy, sięgnął po nóż wiszący u pasa.

— Spójrz! — zawołałem stając w malowniczej pozie. — Jestem wielkim czarownikiem. Zobacz moje czary.

Ściągnąłem rękawice, zakasałem rękawy i zrobiłem kilka magicznych ruchów w powietrzu.

— Killisnoo! — wołałem. — Killisnoo! Killisnoo!

Robiłem swoje zaklęcia, które coraz bardziej przerażały Indian. Wpatrywali się we mnie i nie mieli nawet czasu zauważyć, że Tilly gdzieś znikła. Znów przywołałem ją trzy razy — odczekałem chwilę — i znów trzykrotnie powtórzyłem wezwanie. Wszystko po to, by wywołać tajemniczy nastrój i podniecić tłum. Wódz nie mógł zrozumieć, o co mi chodzi, chciał przerwać te błazeństwa, ale szamani powiedzieli mu, żeby poczekał, bo oni przejrzą moje zaklęcia i prześcigną mnie, czy coś w tym rodzaju. A poza tym nicpoń był zabobonny i pewnie trochę się bał czarów białego człowieka.

Potem przywołałem Killisnoo głosem przeciągłym i wabiącym niczym wycie wilka, aż kobiety dostały drgawek, a mężczyźni sposepniali.

— Patrzcie! — skoczyłem naprzód wskazując palcem na gromadkę kobiet, bo łatwiej oszukać kobiety niż mężczyzn. — Patrzcie! — i uniosłem palec w górę, jakbym wiódł nim za lotem ptaka. Wznosiłem palec wyżej, coraz wyżej nad głową, a oczami wiodłem za tym ptakiem, póki mi nie zginął gdzieś w niebie.

— Killisnoo — powiedziałem patrząc na wodza i znów wznosząc palec w górę. — Killisnoo.

— Jak Boga kocham, Dick, złapali się na ten kawał. Co najmniej połowa z nich widziała Tilly znikającą w powietrzu. Pijali moją whisky w Juneau i ręczę ci, że widywali jeszcze dziwniejsze rzeczy. Czemu więc nie mogłem dokazać podobnego cudu, ja, który sprzedawałem złe duchy zamknięte w butelkach? Parę kobiet krzyknęło przeraźliwie. Ludzie w gromadkach zaczęli szeptać. Skrzyżowałem ramiona, głowę podniosłem wysoko, a oni coraz dalej odsuwali się ode mnie. Czas był uciekać. „Łapcie go!” krzyknął George. Kilku Indian skoczyło ku mnie, ale szybko obróciłem się w miejscu, rękami zrobiłem parę magicznych ruchów, jakbym chciał ich wysłać w ślad za Tilly, i wskazałem palcem w górę. Dotknąć mnie? Za żadne skarby świata. Wódz zachęcał ich, ale stali jak wryci. Wtedy sam spróbował mnie chwycić, powtórzyłem jednak nieme zaklęcia i cała jego odwaga prysła.

— Niech wasi szamani zrobią taki cud, jak ja tej nocy — powiedziałem. — Niech przywołają Killisnoo na ziemię z nieba, dokąd ją wysłałem. — Ale szamani znali swoje możliwości. — Niech żony rodzą wam synów tak obficie, jak łososie składają ikrę — powiedziałem zabierając się do odejścia — i niech, wasze totemy długo stoją w tym kraju, a dym waszych obozowisk wiecznie bije w niebo.

Ale gdyby te huncwoty mogły mnie widzieć, jak zaraz po wyrwaniu się od nich puściłem się pędem ku łodzi, jak biegłem potykając się na nierównościach terenu, pomyśleliby, że własne czary mnie gonią. Tilly rozgrzewała się odłupywaniem lodu z łodzi i była gotowa do drogi. Wielki Boże! Jakże pędziliśmy na skrzydłach wiatru! *Taku* wiał nam w plecy, a lodowate fale zalewały łódź przy każdym podmuchu. Zadrejowaliśmy wszystkie otwory, ja sterowałem, Tilly odłupywała lód i tak żeglowaliśmy pół nocy, aż wreszcie przybiliśmy do wyspy Porcupine. Tu z trudem wywlekliśmy szlup na piasek. Koce zamokły, a Tilly musiała suszyć zapałki na własnej piersi.

Myślę więc, że znam się trochę na kobietach. Siedem lat przeżyliśmy jak mąż i żona na morzu raz burzliwym, raz spokojnym. A potem — umarła w samym środku zimy, przy porodzie, na stacji Chilcat. Do ostatka trzymała mnie za rękę, gdy lód coraz wyżej pięł się po wewnętrznej stronie drzwi i grubą powłoką pokrywał wąskie szczeliny okien. Na zewnątrz — samotne wycie wilka i Cisza, wewnątrz — śmierć i Cisza. Nigdy jeszcze nie słyszałeś Ciszy, Dick, i nie daj ci Bóg, byś ją miał słyszeć, gdy śmierć jest obok ciebie. Słyszeć? Tak, słyszeć, że oddech gwizdże jak syrena, a serce bije jak fala przyboju.

Siwaszka, ale kobieta. Biała, Dick, biała na wskroś. Tuż przed śmiercią powiedziała mi: „Zachowaj moją pierzynkę, Tommy, miej ją zawsze ze sobą”. Przynależę jej. A wtedy otworzyła oczy rozszerzone bólem. „Byłam ci dobrą żoną, Tommy, i dlatego chcę, żebyś mi obiecał... obiecał...”



— słowa grzęzły jej w gardle — że gdy się ożenisz, ożenisz się z białą kobietą. Już nie z Siwaszka, Tommy. Ja wiem. Teraz jest pełno białych kobiet tam, w Juneau. Ja wiem.

Biali nazywają cię «mężem Indianki», wasze kobiety odwracają się od ciebie na ulicy, a ty nigdy nie chodzisz do ich chat, jak inni mężczyźni. Czemu? Bo masz żonę Siwaszkę. Czy nie tak? I to jest ile. Dlatego umieram. Obiecuj mi. Pocałuj mnie na przyrzeczenie”. Pocałowałem ją i zasnęła szepcząc: „Teraz dobrze”. Przy samym końcu, tuż przed śmiercią, gdy przyłożyłem ucho do jej warg, zdobyła się jeszcze na ostatnie słowa: „Pamiętaj, Tommy, pamiętaj o mojej pierzynie”. A potem umarła, w porodzie, tam na stacji Chilcat.

Namiot przechylił się i niemal rozpląszczył pod gwałtownym porywem wiatru. Dick napchał fajeczkę, gdy Tommy zaparzył herbatę i odstawił ją do powrotu Molly.

A cóż ta dziewczyna o pałających oczach i jankeskiej krwi? Oślepiąca, padając, czołgając się na czworakach, duszona podmuchami wichury, wlokła się w stronę namiotu. Wiatr z całą wściekłością targał pękatym tłumokiem u jej ramion. Wreszcie słabo szarpnęła zasznurowanymi połami namiotu, ale rozwiązali je dopiero Tommy i Dick. Wtedy wszystkie siły ducha włożyła w ostatni wysiłek: weszła do namiotu i padła wyczerpana na ziemię.

Tommy rozwiązał rzemienie i zdjął tłumok z jej ramion. Gdy go podniósł, rozległ się metaliczny brzęk garnków i patelni. Dick nalewając whisky w kubek zatrzymał się na wystarczająco długą chwilę, by porozumiewawczo mrugnąć do Tommy'ego. Tommy odpowiedział mrugnięciem. Jego usta złożyły się do słowa: „suknie”, ale Dick z wyrzutem potrząsnął głową.

— Masz, mała kobietko — powiedział, gdy Molly wypła whisky i nabrała nieco sił. — masz tu trochę suchej odzieży. Włóż w nią. Wychodzimy, bo trzeba wbić parę dodatkowych kołków dla wzmocnienia namiotu. Gdy się przebierzesz, zawołaj nas i zjemy obiad. Huknij, gdy będziesz gotowa.

— Mówię ci, Dick, to ją utemperuje do końca podróży — rzucił Tommy, gdy przykucnęli pod osłoną namiotu.

— Tak, ale ten temperament, ten hart ducha to właśnie jej ratunek — odparł Dick uchylając głowę przed chmurą śnieżnych krup., którymi wiatr cisnął w nich zza rogu namiotu. — Hart taki jak twój i mój, Tommy, jaki przed nami miały nasze matki.

Przygotowano na podstawie bookini.pl